Niemodlin: między jedną nudą a drugą

Nowa Ruda: tu była kopalnia

Karol Maliszewski nie może się nadziwić

Fotografie: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

*Reportaż: „Tygodnik” na granicy zachodniej (1)*

# W krainie obwodnic

**Michał Kuźmiński, Michał Olszewski**

50 lat temu dziennikarze „Tygodnika” Maciej Malicki i Tadeusz Żychiewicz wraz fotoreporterem Wojciechem Plewińskim ruszyli w podróż wzdłuż zachodniej granicy kraju. Jechali w nieznane, bez przewodników i Wikipedii, na polski Dziki Zachód, w tereny, jak głosiła oficjalna linia władz, prapolskie, piastowskie, przywrócone do macierzy. Od Nysy do Szczecina.

Materiał, jaki przywieźli, musiał być dla czytelnika nieobeznanego z problemami zachodniej części kraju porażający. Polska przegrywała batalię o kolonizację powojennych nabytków. Miasta znikały, rozbierane na cegłę potrzebną do odbudowy Warszawy, część przesiedleńców uciekła. Dziennikarze „TP” jechali przez ruiny, zabite na głucho miasta, zmarnowaną energię pierwszych kolonizatorów. O przekroczeniu granicy z NRD mogli tylko pomarzyć.

Przejechaliśmy tą samą trasą, żeby zanotować, jak polski Zachód wygląda po pół wieku i jaka jest dzisiaj jego specyfika.

Reportaż Żychiewicza i Malickiego można przeczytać na stronach internetowych „TP”.

## Niemodlin. Holandia jest daleko

Dworzec nieczynny od 15 lat. Pod stacją z czerwonej cegły wyrasta grupka chłopaków z pogranicza gimnazjum i liceum. W niezłych markowych ubraniach, obficie strzykają śliną i przekleństwami na chodnik. Jeden posiada atrybut w postaci fałszywego sygnetu z listkiem marihuany.

– Idziemy nad staw, do psów – tłumaczą. – To ich prywatny, bo sobie wydzierżawili, i tam balują, ale czasem można posiedzieć.

Policjant to wróg, choćby dla zasady. Idą nad staw wrogów, bo nie bardzo mają dokąd. Kwitnie trądzik i sypie się wąs, słońce świeci sentymentalnie, późnosierpniowo. Tysiące takich samych grupek w takich samych miastach, nie tylko na ziemiach zachodnich, krążą właśnie bez celu pomiędzy jedną nudą a drugą. Tak jak dziesięć i dwadzieścia lat temu krążyli ich starsi bracia ojcowie. Pewnie tylko klną więcej i o innych rozrywkach marzą.

Na przykład: w siedmiotysięcznym Niemodlinie nie ma ściany do legalnego graffiti. Malują na garażach, ale tam nie widać, więc żaden prestiż. Nie ma też skate-parku. A jest w Niemodlinie taki placyk, zajęty przez żuli. I to jest krzycząca niesprawiedliwość, że żule mają swoją łączkę, a chłopaki z osiedla tylko wyleniałą kanapę pod ścianą garażu.

Wyciągają papierosy. Kino w Niemodlinie zamknięte, trzeba jechać do Opola. Zresztą, nawet jak było, nie chodzili zbyt często, bo właściciel wrzeszczał, jak dla zabawy wyłączali w środku seansu prąd. Jest za to najprawdziwszy paintball, reklamuje się już u granic miasta, ale na paintball ich nie stać.

– Jest burdel, he he – napinają się chłopaki. Jeden dodaje ciszej, że jest jeszcze Ochotnicza Straż Pożarna. Ale chodzić do OSP to jednak straszny obciach.

Próbują zaimponować. – Można jeszcze iść pod piętnastkę i natłuc żulom – śmieją się za głośno. Piętnastka, tłumaczą, to taki blok, jedna wielka melina.

Starsi powyjeżdżali za granicę. Ci chłopcy też by chcieli. Wyjechać z tego miasta, z tego kraju, najlepiej do Holandii, do coffee shopów, tam, gdzie można palić marihuanę i psy nie gonią.

Muszą iść, nad staw, a potem do domu, niewiele czasu. Jeden zdaje jutro egzamin komisyjny z fizyki.

❖

Zamknięte kino, chłopaki w markowych ciuchach, rozmowy o dialektyce wyjazdów i powrotów, nieczynna stacja. Krajobraz typowy aż do bólu. Żaden z nich nie wspomniał, że specjalnie dla nich, żeby tiry nie przejeżdżały przez śniadanie, w Niemodlinie będą budować obwodnicę. Może nie wiedzą. Jest źle, koniec, kropka.
Zaczyna się niezbyt obiecująco, podejrzanie typowo i przewidywalnie, w sam raz do reportażu o upadku i beznadziei małych miasteczek skazanych na zagładę.

## Nysa. Powrót do niszy

– Ja tu byłem pierwszy raz jako dziecko, w 1950 r. Pamiętam morze ruin. Rumowiska, cegła, cegła – Błażej Kubica, energiczny muzyk i dyrygent z Wodzisławia, ogarnia wzrokiem kolorowy i żywy rynek Nysy.

Niedzielne popołudnie, kończy się lato, miasto wyległo na zewnątrz, żeby zjeść pizzę i wypić piwo w cieniu potężnego kościoła św. Jakuba i św. Agnieszki. Mnóstwo młodzieży, sporo kobiet z dziećmi. W środku rynku strzela w niebo obłożona drogim klinkierem szpica, jeszcze nie skończona – prywatny przedsiębiorca buduje replikę przedwojennego ratusza. Ale magistrat zostanie na swoim miejscu, w wieży będą sklepy. Przyklejony do konstrukcji budynek – złote szprosy biją po oczach z daleka – jeszcze nie doczekał się tynku, więc widać wyraźnie, że murarze mieli spory kłopot ze złapaniem pionu.

Nic tu nie wskazuje na zmierzch, a przecież Nysa w połowie lat 90. należała do miast, które zdecydowanie nie radziły sobie z czasem przemiany. Padły dwa molochy: Zakład Urządzeń Przemysłowych i fabryka samochodów, z której od 1957 do 1994 roku wyjeżdżały legendarne nyski.

– Musiała fabryka paść, taka tam była komuna – wspomina Kubica. – Słyszałem, jak się kradło. Ludzie wynosili bele płótna na garnitury dyrektorów i na pierwszomajowe dekoracje, części. Za pół litra można było kupić nowiutki silnik.

Nie warto tam zaglądać. Pustka, 30 osób zatrudnionych zamiast dawnych 2 tysięcy. Pod bramą mówią, że właśnie jest jeden z prezesów, to może porozmawia, ale prezes poproszony o chwilę rozmowy z wściekłością zasuwa okno i ucieka swoim białym lanosem. Atmosfera jest najwyraźniej trudna. Może boi się windykatora, może komuś zalega z wypłatą?

A na rynku polski drobny biznes w dwuznacznym rozkwicie. Parter kamieniczek szczelnie pokrywają szyldy, ogłoszenia i banery. Sklepy, punkty usługowe, biura podróży. W dobre tygodnie na zakupy przyjeżdża tu nawet 20 tysięcy Czechów. – Miasto wraca do swojej naturalnej niszy – twierdzi Edyta Bednarska-Kolbiarz, rzecznik prasowy nyskiego magistratu. – Idziemy w kierunku turystyki i drobnej przedsiębiorczości. Nieopodal jest Jezioro Nyskie, blisko do gór i czeskiej granicy. Na rewitalizację naszych słynnych fortów mamy pieniądze unijne.

A zamiast samochodów nysianie wyrabiają chipsy, w największej fabryce w kraju.

Morze ruin. Stąd pochodzi żona Kubicy, więc kompozytor przyjeżdża regularnie, widzi, jak zmienia się miasto, ale tamten widok pozostanie w nim na zawsze. Podobnie zapamiętali nyski rynek reporterzy „Tygodnika” sprzed 50 lat: „Olbrzymie pustkowie ceglanego rumowiska – pisali. – Wojna? Tak. Sześć tygodni trwały tu walki. Ale Nysę – co tu ukrywać – wykończyliśmy samodzielnie już po wojnie. W 1952 r. zaplanowano 15 mln sztuk cegły z rozbiórki staromiejskich zabytkowych i nadających się do remontu kamieniczek. Równocześnie w Nysie zabrakło mieszkań”.

Zostawiano same fasady, żeby Film Polski mógł nakręcić ujęcia „Piastowskiej Nysy”. W ciągu 10 lat zniknęły 103 zabytkowe domy, których rozbiórka była droższa niż uzyskana z nich cegła.

❖

Dziś Nysa tętni życiem, ale niektórych błędów naprawić się nie da. XV-wieczny kościół otaczają szerokim pierścieniem peerelowskie bezstylowe bloki, owszem, pomalowane w żywe kolory, ze skośnymi dachami nawet, jednak poczucie katastrofy estetycznej nadal unosi się nad tym miejscem. I jeśli szukać odpowiedzi na pytanie o to, czy Ziemie Zachodnie mają jeszcze jakiś wspólny rdzeń, Nysa podsuwa pierwszą odpowiedź: to gwałt na architekturze, większy niż w innych częściach kraju. Zerwana ciągłość, głębokie średniowiecze pomieszane z tandetą blokowisk, neogotyk obok żelbetu, zawiłe ornamenty ramię w ramię z powojenną siermięgą. Połączenie tych światów dało efekt piekielny. Na Ścianie Zachodniej architektura nadal bardzo mocno zgrzyta.

## Otmuchów. Na kotwicy

Kino Podzamcze od dawna nieczynne. W socjalistycznym klocku kawiarni Zamkowej przy rynku zaczyna się dancing. Na fasadzie dalej wisi nieczynny neon „kawiarnia” z lat 70. Na wzgórzu zamek. W reportażu Żychiewicza i Malickiego na jego bramie wisi tabliczka „Zarząd PGR”. Dziś zamiast niej strzałka zapraszająca do ogródka bonsai. Na zamku trwa wesele, wszystko inne pozamykane, więc życie towarzyskie toczy się na ławkach.

Murek i klomb przed Zamkową obsiadła grupa nastolatków. Też w markowych ciuchach. Trzech z nich należy do Ochotniczej Straży Pożarnej. Pokazują pagery Motoroli, przy pomocy których są zwoływani. – Przy tym pożarze składu opon w Skoroszycach byliśmy – mówią z dumą w oczach. To było w październiku ubiegłego roku, paliło się kilkaset metrów kwadratowych opon. Gasiły jednostki nawet z sąsiednich województw. Było naprawdę groźnie. Po co jeżdżą? – Trochę z nudów, no i chce się pomagać ludziom – tłumaczą. – Od niedawna ochotnicy pracują za darmo. Wiele jednostek OSP opustoszało, nasza jakoś nie.

Plany? – Wszyscy wyjeżdżają. Też będzie trzeba. Do woja i za granicę.

## Paczków. Obwodnica wokół murów

Polskie Carcassonne, tak mówią o nim znawcy. Zachowały się XIV-wieczne mury obronne oraz warowny kościół. To mógłby być jeden z obowiązkowych punktów programu dla zwiedzających południowy zachód Polski. Na razie nie jest.

Od strony obwodnicy zachowała się też fabryka Polleny. Tu również z setek pracowników została garstka. W niedzielny wieczór miasto, którym zachwycają się przewodniki, wita kompletną pustką.

Z reportażu sprzed 50 lat: „Długi szereg domów. Okna ślepe, partery zamurowane. Makabryczny teatr martwych fasad”. Wtedy był to zupełnie inny świat. Reporterzy „Tygodnika” opisywali miejsce, które – po niecałych dziesięciu latach od przesiedleń – opuścili mieszkańcy. Nie było pracy.

Może to tylko wpływ lektury tekstu sprzed pół wieku, może o tej porze przyzwoici ludzie już śpią. Ale pusty Paczków z wygaszonymi oknami wygląda ponuro.

Na rynku czynna jest jeszcze restauracja o nazwie – jakżeby inaczej – „Carcassonne”. Gotyckie, przysadziste sklepienie, na ścianach zdjęcia przedwojennego Paczkowa: miejsca, ulice, budynki, rodziny. Właściciele szukają ich na internetowych aukcjach.

Czarne, stylizowane na antyki krzesła z wysokimi oparciami. Menu – tradycyjna kuchnia polska. I nieszczęsny napis u dołu jadłospisu: „Dania z mikroweli”.

Danuta Mazur-Bogusz parzy herbatę. Założyła „Carcassonne” dziesięć lat temu, kiedy przenieśli się tu z mężem. On był dyrektorem w Hucie Katowice, ona pracowała w biurze projektów. Wspomina skołatane nerwy, to przez nie postanowili wyjechać, spróbować gdzie indziej, zrobić coś z pasją. Przyjechali z wielkimi nadziejami, licząc na turystów i godziwy zarobek. Miejsce wydawało się idealne, z przyszłością, a jednak Paczków jej nerwom nie pomógł. – Dziesięć lat ciężkiej pracy, prania, sprzątania, kajania się przed pijanymi gnojami – unosi głos. – I policja nie reaguje na rozróby. Tam, za rogiem, tylko stoją.

– Chociaż teraz – zastanawia się – rozrób mniej. Bo nie ma kto, młodzi wyjechali.

Pani Danuta opowiada, że za dawnych czasów ludzi w lokalach było pełno. – Oni tu wszystko dostali. Domy z meblami. Na nic nie musieli oszczędzać, więc żyli ponad stan, mogli siedzieć w kawiarniach. Teraz nie ma kto.

– Namawiałam, żeby z rynku zrobić deptak. Ile by zyskał dla turystów! Ale tu mentalność jest taka, że tego nie rozumieją – skarży się. – Ważne, żeby samochodem dojechać pod dom.

Dorzuca kilka przykrych słów o legendach, jakie towarzyszą pierwszym osiedleńcom ze wschodu: krowy piły wodę z pięknych wanien, w łazienkach trzymali świnie. I jeszcze, że pomysł na życie jej nie wypalił. A interes dobiła nowa obwodnica. Wspaniała rzecz dla miasta, ale zabójcza dla handlu. Turyści w drodze się tu nie zatrzymują, jadą dalej.

❖

Droga krajowa nr 46 z Częstochowy przez Opole do Kłodzka, szlak do Pragi, omija miasto płynnym łukiem o gładkiej, nowej nawierzchni. Świetny asfalt. Na forach internetowych polecana jako miejsce do bicia rekordów prędkości. Świetny asfalt – ten motyw będzie się powtarzał.

## Nowa Ruda. Wiersz, który dziś by nie powstał

Karol Maliszewski, poeta, krytyk i nauczyciel, przemierza rodzinne miasto i nie może się nadziwić.

Mieszka tutaj 47 lat, ale takiego skoku cywilizacyjnego dotychczas nie widział. Nowa Ruda w niczym nie przypomina onirycznego miasta z „Domu dziennego, domu nocnego” Olgi Tokarczuk. Dziesięć lat temu pisarka notowała: „Nie ma w nim nic nowego, a gdyby tylko się pojawiło, zaraz ściemnieje, pokryje się nalotem, zbutwieje i stanie bez ruchu na granicy istnienia”.

Teraz inaczej. W centrum robotnicy zrywają asfalt, za unijne pieniądze będą odtwarzać przedwojenny bruk. Ruszyła kanalizacja starych osiedli, do wyżej położonych domów podciągnięto wodociągi. Zamek odnowiony przez prywatnego inwestora. Na parterze urządził sklep spożywczy. Na rynku zadbane klomby, wysyp szyldów reklamujących tanie kredyty, nawet bar mleczny schludny, obity łatwym do umycia sajdingiem.

W mgliste noce Nowa Ruda przypomina najciemniejsze sztychy Piranesiego. Niemcy zbudowali ją piętrowo – nad ulicą ulica, pod wiaduktem osiedle, partery domów, gdy obejść je wokół, okazują się ich drugimi kondygnacjami, uliczki zamieniają się w schody. Nowa Ruda przetrwała bez szwanku przemysł górniczy, ale z tirami nie dała sobie rady. Pękają ściany domów, osuwa się ziemia.

Maliszewski prowadzi za miasto. Chodzi na spacery tymi samymi ścieżkami co w dzieciństwie. Obserwuje czujnie krajobraz, w którym wyrósł, notuje najdrobniejsze zmiany. Ulica Piastów, odmalowana na pistacjowo podstawówka, w której uczy, Pekin – baraki rotacyjne dla biedoty, wielkie hałdowiska, Most Samobójców – potężny wiadukt między dwoma zboczami. Pociąg już tędy nie kursuje, czasem przejeżdża towarowy, w sezonie ostrożnie i powoli przetacza się wakacyjny pociąg dalekobieżny.

Atrakcją dzieciństwa Maliszewskiego było zgadywanie, jaki kolor będzie miała rzeczka. Co dzień zakłady tekstylne barwiły ją inaczej. Dziś w rzece pływają pstrągi. Spadkobierczyni właścicieli próbowała jeszcze niedawno uruchomić produkcję, ale okazało się, że z chińskim importem nie sposób konkurować. Pusty moloch straszy powybijanymi szybami. Tak wygląda koniec wielkich zakładów z ośmiogodzinnym dniem pracy i socjalem.

Ale to nieprawda, podkreśla Maliszewski, że wszyscy górnicy przepili odprawy. Na próchniejących poprzemysłowych budynkach kiełkują szyldy firm, część z nich założono właśnie z tych pieniędzy. Wynajmują kawałki starej przestrzeni, próbują się na nich urządzić. Hurtownia. Skup złomu. Magazyn. Elektronarzędzia.

Karol Maliszewski chodzi tędy i nieustannie kręci głową.

– Tu był straszny upadek w połowie lat 90. Wszystko nagle runęło. Diora, kopalnie Nowa Ruda i Słupiec, zakłady tekstylne, wszystko upadło na twarz i już się nie podniosło. Nie wiedzieliśmy, co robić. Niektórych rzeczy nie dało się uratować, ale miasto się podnosi – przekonuje. – Ile domów wyremontowanych, jaki porządek w ogródkach.

Uspokoiło się, ludzie znaleźli zatrudnienie w innych miastach, niektórzy jeżdżą do Wałbrzycha, inni do czeskiej fabryki Skody. Ale nie wszyscy potrafili ułożyć sobie życie po krachu. W ciągu ostatnich 10 lat 5 tysięcy mieszkańców wyjechało. Dla 25-tysięcznego miasta to bardzo dużo. Dawni uczniowie Maliszewskiego na internetowym forum Nowej Rudy zostawiają mu pozdrowienia z Glasgow. Ci bez wykształcenia, którzy zostali na miejscu, harują w pobliskich kamieniołomach. Znowu ruszyły – potrzeba kruszywa pod drogi.

Maliszewskiego nurtuje tylko, dla kogo te wszystkie modernizacje, obwodnice i kostki brukowe, skoro młodzi wyjeżdżają. Kilka razy nazywa Nową Rudę miastem emerytów. Może jak wrócą...

Ścieżką ku hałdzie. Maliszewski chce pokazać pejzaże, w które tak mocno wrósł. Wysypiska zarosły w dziesięć lat, brzozy już całkiem duże, jeszcze kilka lat i niewprawne oko nie odróżni wzgórz sypanych przez 150 lat od naturalnych wzniesień. A tu była kopalnia, pozostała po niej ziejąca pustka i jeden budynek, nie wiadomo dlaczego nie zburzony na cegłę. Złomiarze wypruli już, co się dało. Dwóch z nich zginęło, przywalonych gruzem pozbawianym szkieletu.

Do tego krajobrazu jak z postromantycznych „Sonetów krymskich” nie bardzo pasuje warkot ciężarówek, jednej, drugiej, słychać je coraz wyraźniej. Wyładowane piaskiem, pną się szarym zboczem hałdy. Warkocze pyłu ciągną się za oponami. Ścieżkę do pobliskiej Miedzianki, okolicy biednych ludzi, przeciął kanion, w którym pobiegnie obwodnica. Nowa Ruda biła się o nią 17 lat, tiry w końcu przestaną niszczyć miasto. Kolejne miasto na trasie, w którym obwodnica już powstała albo właśnie powstaje.

Maliszewski nie należy do ślepo zapatrzonych w rozwój i nowość. Jest w Nowej Rudzie bieda, od której nawet średnio wrażliwym jednostkom uginają się kolana. Do szkoły, w której uczy, przychodzą dzieci z brudnymi włosami, w starych, wyszarzałych ubraniach, owiane, jak pisał w jednym ze swoich opowiadań, „słodkawym zapaszkiem” niedomycia. Są podobno w mieście domy, gdzie matka przyjmuje klienta na oczach swoich dzieci.

Ponad trzy lata temu, stojąc w tym samym miejscu, z którego dziś rozciąga się widok na wielki plac budowy, do Maliszewskiego przyszła strofa. Później wykorzystał ją w wierszu „Dzień nauczyciela”:

*Powędrowałem dzisiaj wzdłuż hałd*
*by odkryć kolonię półzapadłych domów.*
*To stąd przychodzą dzieci, owiane*
*kwaśnym wiatrem, ze stęchlizną w płaszczach*

– Dzisiaj już bym tak nie napisał – mówi, oglądając świeżo otynkowane poniemieckie domy i eleganckie ogródki wydzielone płotkiem z Castoramy.

❖

Tylko ten zamek. Czy naprawdę trzeba było zakładać w nim sklep spożywczy?

Ciąg dalszy w następnym numerze

Konrad Adenauer Stiftung
Projekt zrealizowany we współpracy z Przedstawicielstwem Fundacji Konrada Adenauera w Warszawie

*Reportaż: „Tygodnik” na granicy zachodniej (2)*

# Granica warta zachodu

MICHAŁ KUŹMIŃSKI, MICHAŁ OLSZEWSKI

50 lat temu dziennikarze „Tygodnika” Maciej Malicki i Tadeusz Żychiewicz oraz fotoreporter Wojciech Plewiński podróżowali wzdłuż zachodniej granicy, przez tereny, jak głosiły władze, przywrócone do macierzy. Od Nysy do Szczecina. Przywieźli materiał pokazujący Polskę, która przegrywała batalię o kolonizację powojennych nabytków. Miasta znikały, rozbierane na cegłę potrzebną do odbudowy Warszawy, część przesiedleńców uciekła. O przekroczeniu granicy z NRD mogli tylko pomarzyć.

Przejechaliśmy tą samą trasą, żeby zanotować, jak polski Zachód wygląda po pół wieku i jaka jest dzisiaj jego specyfika.

Reportaż sprzed 50 lat oraz poprzednią część niniejszego można przeczytać na stronach internetowych „TP”.

## Wałbrzych. Miasto rozłamane

Po krachu tutejszych kopalni z początku lat 90. Wałbrzych stał się poręcznym symbolem ciemnej strony transformacji. Jeszcze w 2002 r. w prawie 130-tysięcznym mieście pracy nie miało 16 tysięcy ludzi. Z biedaszybów żyło co najmniej 3 tysiące.

I nagle zjawił się książę z bajki. Na imię miał Wielki Biznes. Zamieszkał na północnych obrzeżach miasta, w strefie ekonomicznej, postawił tam pałace z blachy trapezowej, aluminium i stali. Cersanit podobny do azteckiej piramidy, Toyota, producenci węży gumowych, kierownic, zagłówków, podzespołów. Pracuje tam dziś 7 tys. ludzi, a wkrótce ruszą kolejne inwestycje.

Po drugiej stronie Wałbrzycha spośród gór wyrastają kamienice Boguszowa-Gorców. Do początku lat 90. działały tu trzy kopalnie barytu, wydobywano też węgiel, prawie pięćset lat, aż do 1994 r.

Marzena i Dorota pilnują dzieci przy piaskownicy. U Marzeny przed chwilą był obiad, z wczorajszych ziemniaków zrobiła kopytka, sąsiadka przygotowała sos. Zakupy robią często na kreskę. I pożyczają sobie, gdy brak do pierwszego. Dookoła schludnie wyglądające bloki, ale do klatek schodowych lepiej nie wchodzić.

Dorota 10 lat pracowała w fabryce porcelany, potem sprzątała w szkole. – Kręgosłup mi siadł. Nie mogę pracować fizycznie w Strefie, a szkół skończonych nie mam – mówi. – Mamy 1200 zł na troje.

U Marzeny jest tysiąc na pięcioro.

Nie ma rodziny bez kogoś za granicą. Ale było gorzej. Na biedaszyby chodziły nawet kobiety. Teraz kopią tylko mężczyźni, i to po nocy, bo w dzień straż miejska goni. Tona węgla w Wałbrzychu kosztuje 400 do 500 zł. 50-kilogramowy worek z biedaszybów to ok. 10 zł, dwa razy taniej.

Za blokami ścieżka. Z otwartej studzienki kanalizacyjnej sterczy patyk, taki właz to kilka dobrych kilo złomu. Ścieżka prowadzi nad wąwozem, przez las, raptem wychodzi na polanę porytą dziesiątkami dziur, część wygląda na świeże. Na przekroju warstwy węgla.

Krystian, 27-latek, remontuje mieszkanie. Drażni go gadanie o Boguszowie-Gorcach jak o krainie upadłej. Kto chce pracować, ten pracuje. I to nie na Strefie – tam za Boga by nie poszedł, nie opłaca się. Już nie doją tak jak kiedyś, że po 14 godzin na dobę za zwykłą dniówkę tam się zapieprzało, ale nadal mało płacą. Krystian pracował w Czechach, w fabryce Skody, odłożył trochę, a przy okazji napatrzył się na kumpli z roboty: byli tacy, co wszystko przelewali w gardło. Teraz pójdzie do słynnej fabryki LG, pracuje tam jego żona. Zarabia się przyzwoicie, dowóz darmowy, płacą dobre pieniądze za weekendy i święta. Można nawet 2500 wyciągnąć.

A za to da się już żyć.

## Zgorzelec. Historia romansu

W Zgorzelcu również duże zmiany.

Z ulic zniknęli narkomani. W tym blisko czterdziestotysięcznym mieście najwcześniej w Polsce zagościł kompot i makiwara. Przez wiele lat bramy należały do ćpunów.

Opowiada się tu mit o mężczyźnie, który w połowie lat 70. miał przywieźć do miasta recepturę. Akurat wtedy dorastało pokolenie dzieci z kluczami na szyjach. Ojcowie wyjeżdżali wcześnie rano do elektrowni Turów albo kopać węgiel brunatny, matki – do pracy w NRD.

Ciężar tamtego splotu okoliczności Zgorzelec dźwiga do dziś. W powiecie zarejestrowanych jest 600 narkomanów, niektórzy mają już po 60 lat. Amputowane kończyny, mycie strzykawek w kałużach, tamten dramatyczny rok, kiedy ktoś sprzedał towar z krwią zarażoną wirusem. Z niemieckiej strony też przychodzili goście, mimo że oficjalnie narkomanów tam nie było.

Problem udało się opanować, głównie dzięki programowi metadonowemu. Stu uzależnionych codziennie otrzymuje od lekarza substytut heroiny. Przychodzą pod poradnię, palą papierosy, grzeją się w słońcu. Jest w nich melancholia starych kombatantów.

Ludzie zaczęli tu inaczej żyć. Ci, co jeździli na jumę [drobne kradzieże za granicą – red.], albo siedzą, albo złapali się za legalną robotę. Niemcy nie są tacy naiwni jak kiedyś. Złodziejka samochodowa też przygasła, bo auta naszpikowane elektroniką i trzeba się napocić.

A ćpanie? Z Czech młodzi przywożą Piko, czyli metamfetaminę pomieszaną ze strychniną. – Kompot niszczył podroby – przyznają – ale głowa zostawała w porządku. A od spidów raz dwa dziury w głowie, nie ma starych spidziarzy. Serce puszcza.

❖

Inaczej dziś wygląda granica w mieście, od której odbili się Żychiewicz i Malicki. Most jest nowy, choć pusty jak wtedy. 50 lat temu nie było też kantoru z kasjerką, która na widok wchodzących w środku nocy mężczyzn wsuwa dłoń pod ladę. Strzeli czy zadzwoni po ochronę?

Ale po naprawdę szturmowych latach, kiedy przez most w centrum przejeżdżały tysiące aut dziennie, a mrówki cisnęły się w kolejkach, pozostało wspomnienie. Wspomnienie luksusowych aut na niemieckich blachach, którymi przez całą dobę alfonsi transportowali na drugą stronę prostytutki. Teraz spokój, rozluźnieni celnicy na posterunku. Emocje wywietrzały, ruch przeniósł się na przejście autostradowe.

Słubice. Po pożarze bazaru, wokół szczątków stoisk (na drugim planie) szybko odrodziło się życie.

Miasto po polskiej stronie skurczyło się jak Nowa Ruda, ale widać w nim ruch, energię. Inaczej niż w pięknym, renesansowym Görlitz, które niespodziewany skręt frontu w 1945 r. uratował przed zrównaniem z ziemią. Pięknym, lecz pustym. Z zamkowych biforiów doskonale widać polskie wieżowce.

❖

O pierwszej w nocy pan Henryk, emerytowany hydraulik, przejeżdża składakiem granicę. Spod dresu w kolorze lawendy wystaje świeżutka biała, haftowana koszula. Włosy zaczesane do tyłu, spodnie w kant, na palcu sygnet. Sandały z prawdziwej skóry, świeże skarpetki. Pan Henryk, lat 70, zmierza do kochanki. Pani pułkownikowej, wdowy po oficerze Stasi, którego szlag niedawno trafił, z temperamentem babeczki.

Jest antysemitą, demaskuje w centrum Görlitz kamienice, które przed wojną należały, niestety, do Żydów. Pokazuje na oświetlony pełnią księżyca budynek Deutsche Banku, stojąc pod nieczynnym kasynem.

Kupuje w Zittau wiązanki na różne okazje, a potem pułkownikowa nimi handluje. Hydraulik-florysta, sam tak o sobie mówi. A pułkownikową to sobie dobrze ustawił, robi, co on chce, i jeszcze szczęśliwa. Z nią to jak z Niemcami, gardzi nimi, ale żyć bez nich nie potrafi.

Zatrzymuje się nagle i w środku nocy uruchamia staroświeckie, tylnojęzykowe „ł”. W niemiecką noc płynie „Słowo o Jakubie Szeli” Brunona Jasieńskiego. Nostalgia na siłę przyklejona do tych dekoracji:

*Jeno wprzód mi tej słodyczy*
*miarką ust twych namierz*
*– żółty kłos mi serca wyrósł,*
*ty go głupia złamiesz.*

Do kochanki pan Henryk jeździ przez miasto-widmo. W dzień i w nocy mija puste kwartały przedwojennej zabudowy, zabite deskami drzwi i witryny, zachęty *zu verkaufen*, drzwi pośredniaka pełne ofert pracy: Kaufmann, Montage, Handwerk, Medizin, Bau, Elektro. Miasto znika w oczach, pieniądze z zachodnich Niemiec nie zadziałały. Wiatr hula pustymi ulicami, po ulubionym sklepie monopolowym Henryka przy dworcu pozostały resztki napisów na tynku. W nocy trzeba uważać na chłopaków z osiedli, bo potrafią zrobić krzywdę.

Z Görlitz wyprowadziło się ponad 20 tys. mieszkańców, prawie jedna czwarta.

Za centrum zaczynają się osiedla. Rowerem na ulicę An der Terasse, w środek szarego blokowiska z lat 80., można się dostać w kwadrans. W każdej klatce są opuszczone mieszkania. Jeśli jest ich zbyt wiele, resztę lokatorów miasto przesiedla i blok idzie do rozbiórki. Robotnicy wyrywają framugi i kable, ściany trafią w tryby specjalnych młynów, które zmielą je na sproszkowany beton. Tak kurczą się Görlitz, Frankfurt n. Odrą, Eisenhüttenstadt.

– Gdzieś mam te ich kłopoty – komentuje pan Henryk. – To nie moje, ja tu do pułkownikowej tylko i wiązanki sprzedać.

❖

Od Niemodlina po polskiej stronie wszędzie te same elementy. Aureola ze złotych gwiazdek na niebieskim tle patronuje połaciom nowego asfaltu, obwodnicom, wykopom, chodnikom z kostki brukowej, przejściom granicznym, placom zabaw i rezerwatom przyrody. Ściana zachodnia ekspresowo dobija do standardów europejskich.

## Przemków. Marzenia się spełniają

Już teraz mówią o nim: dzieło życia. Dobra dachówka barwy głęboki brąz, sama kuchnia warta ponad 100 tys. złotych. Pokoje do wynajęcia, można pogłaskać kózki w zagrodzie.

Urszula i Jan Kobanowie pracowali w Zachodnich Niemczech prawie 20 lat. Na nocne zmiany, w fabryce czekolady, przy myciu okien. Nadal prowadzą tam interesy, ale chcieli czegoś trwałego. Dzieci pytały, po co taki kłopot na głowę. Uparli się.

Jan, wielki facet z blond kitką, przez osiem lat rozbudowywał odziedziczoną chatkę przy drodze z Przemkowa do Żagania. Na półkach poustawiali żelazka na duszę, wypchane zwierzęta, maselnice, uprzęże, żeby wyczarować nastrój starej chałupy. Powstała łemkowska karczma o niemieckiej nazwie „Kobanhof”. Menu z kuchni trzech kultur, które mieszają się w Przemkowie – polskiej, łemkowskiej i romskiej. Jan jest Łemkiem, potomkiem przesiedleńców, dlatego popisową potrawą będzie kysełycia – gęsty żur na owsianym zakwasie.

Chcą jeszcze przejąć zniszczony stadion, zbudować korty i założyć sztuczne oświetlenie. Mieszkańcy mieliby zatrudnienie, a dzieciaki – miejsce dla siebie. Jan proponował, że kupi za symboliczną złotówkę teren, zadba o murawę, trybunę i wszystko, co stadion mieć powinien. Ale już w trakcie budowy zajazdu słychać było wokół, że przyjechali bogacze z Niemiec i chcą się rządzić, a teraz próbują zabrać państwowy stadion i na nim zarabiać.

I to jest coś, czego Kobanowie nie potrafią zrozumieć, bo przecież – tak im się wydawało – ruch oznacza zatrudnienie, agroturystykę, coś więcej niż lament i narzekania.

❖

Położony kilka kilometrów od „Kobanhofu” Przemków to jedno z największych skupisk Łemków na ścianie zachodniej. W dodatku próbujących rekonstruować kulturę zabitą przez „Akcję Wisła”. Tu się nadal po łemkowsku mówi na ulicach.

Eugeniusz Habura handluje meblami. Jest prezesem koła Łemków, które założyli w 2000 r. Należy do niego 40 ze 140 łemkowskich rodzin w miasteczku. Własnym sumptem wyremontowali piętro gminnej biblioteki, na ścianie wymalowali mapę dawnej Łemkowszczyzny.

W świetlicy Dymitr Boczniewicz przegląda pisane cyrylicą kroniki. Na zdjęciach watry, ogniska, dzieci w ludowych strojach na spotkaniu z Jolantą Kwaśniewską czy Marią Kaczyńską. O Boczniewiczu Habura mówi „wuj”, zwraca się doń per „wy”. Wuj Dymitr miał 10 lat, gdy ruszyły przesiedlenia. Pochodzi spod Grybowa, dostali kilka dni na przygotowanie się do wywózki, matka zdążyła ususzyć chleb.

Tu wszystko było inne. – W górach ptaki śpiewały inaczej na pogodę, na deszcz, na porę obiadu – opowiada wuj Dymitr, który został na nowych ziemiach nauczycielem biologii i chemii w pobliskiej Szprotawie. – Wszyscy myśleli, że Niemcy wrócą, trzeba się będzie znów przesiedlać. Potem część się przyzwyczaiła.

Ale nie wszyscy: Habura poznał kiedyś 80-letnią staruszkę, która przez cały ten czas miała pod łóżkiem spakowane walizki.

O wyznaniu – greckokatolickim, prawosławnym czy rzymskim – raczej się tu nie rozmawia. – To problem księży, oni go muszą rozwiązać – wyjaśnia Habura. – My w to nie wnikamy, bo byśmy się podzielili.

Owszem, uprzedzenia wobec nich były. Wuj Dymitr pytał wtedy zawsze: „A gdzieś ty się urodził?”. „Tutaj”. „A twoi rodzice?”. „No, w Kołomyi”. – Tutaj łatwiej współistnieć – wzdycha – bo wszyscy są po równo obcy.

Dlatego przemkowskim Łemkom zamarzyło się, żeby przypomnieć dzieciom, skąd pochodzą. – Nie sztuka założyć ludowy zespół – mówią. – Trzeba jeszcze sprawić, żeby młodzi chcieli przychodzić i tańczyć.

Koło uczy języka łemkowskiego, organizuje warsztaty malowania pisanek, wyjazdy na watry. Jest zespół, stroje szyją według oryginalnych wzorów, jest nawet hiphopowa formacja „Bratskład”. Młodzież łemkowska, polska i romska wydaje wspólnie gazetkę „Trzy kultury krainy młodych”.

W zeszłym roku były warsztaty łemkowskiej kuchni. – Impreza dla trzech pokoleń – opowiada Habura. – Rozmowy o historii i tradycji. No i gotowanie.

Przy obiadowym stole widać jak na dłoni problemy z odtwarzaniem kultury. Łemkowskie dania nie wrócą na codzienne stoły rodzin przesiedleńców, bo to proste i tanie jadło nie na dzisiejsze czasy, a dzieciom, które zasmakowały we włoskich pastach i oliwie z oliwek, nie podchodzi. Ale jak pójdą w świat, będą pamiętały, że kiedyś się tak jadło, i wiedziały, jak takie dania zrobić. A to już coś.

I jeszcze: budzenie kultury nie musi wiązać się z cepelią. – Wystarczyło się spotkać na ognisku zorganizowanym przez koło – mówi wuj Dymitr. – Raptem okazywało się, że ten pamięta taką piosenkę, tamten inną, a Łemkowie to przecież naród śpiewaków. I tak sobie przypominamy.

❖

Jest w tych stronach paradoks, ten sam po obu stronach granicy. Podróżny, jeśli tylko podąża na zachód bocznymi drogami, nie ma wrażenia, że tuż za horyzontem pulsuje jedno z serc Europy. Jest w drodze do Berlina dużo ciszy i zapomnienia, dużo przestrzeni na spokój, jakby na wschód od berlińskiego Ringu wielka energia szła w zawody z wielkim snem.

## Słubice. Targ powstaje z popiołów

W nocy z 10 na 11 stycznia tego roku bazar w Słubicach poszedł z dymem. Wszystko – papierosy, wódka, pornografia i żywność ekologiczna, królicze mięso, podróbki perfum, zakłady fryzjerskie. 1200 stoisk najsłynniejszego targowiska na granicy zachodniej spłonęło do fundamentów. Prawdopodobnie zawinili spawacze.

Na drugi dzień pojawili się Niemcy, stali klienci, czasem już przyjaciele. Płakali razem z polskimi kupcami, Caritas we Frankfurcie zorganizował zbiórkę w kościołach.

Przyszłość targu nadal jest niepewna, ale błyskawicznie wróciło tu życie. Namioty na prowizorycznych podestach, nowe budki i sklepiki, kolejne dostawy papierosów.

Jan Sobiesiak dojeżdża do Słubic spod Poznania. Na polsko-niemieckiej wizytówce chwali się specjałami, jakie można u niego nabyć. Przez lata wyrobił sobie markę i stałe kontakty. Niemcy jakoś nie mają ręki do tak prostych spraw jak ogórki małosolne czy zbieranie grzybów. Albo mięso z nutrii, bardzo popularne.

Ceny oczywiście w euro. Tu unia walutowa obowiązuje od dawna, niepokojące trendy w polityce zagranicznej też na nikim nie robią wrażenia. Towar musi być przygotowany idealnie, klient niemiecki zapłaci dwa razy więcej za kurki niż na zwykłym polskim targu, jednak muszą być wyczyszczone z piasku. Mięso najlepiej zapakowane próżniowo, ogórki tylko świeże i chrupkie.

Jeszcze przed pożarem kupcy widzieli, że ruch na bazarze zmalał. Targ wtopił się w nadgraniczną codzienność, przelicznik nie jest tak atrakcyjny jak 10 lat temu i moda na krasnale się skończyła. Dlatego na bazarze, szczególnie w branży spożywczej, zostają ci, którzy potrafią walczyć o niemieckiego klienta.

Jan Sobiesiak, co przyznaje z dumą, daje sobie radę znakomicie.

❖

W restauracjach standard: te same krzesła z łukowym oparciem, żaluzje wertykalne, podwieszane sufity, zbyt głośna muzyka z radia, sztuczne kwiecie, chromowane stołki przy barze, sympatyczna obsługa. Moda na egzotyczne ozdabianie potraw: w filet sandacza wbita parasolka z drinka, do kapusty kiszonej plaster pomarańczy. Najłatwiej byłoby wyśmiać, z drugiej strony nie bardzo wypada. Ktoś wbił tę cholerną parasolkę w rybę, bo chciał, żeby klient dostał nie tylko jedzenie, ale również wrażenie wyjątkowości i estetyki.

Była dzieckiem, gdy zostawili ją tu uciekający rodzice. Bali się, że utonie podczas przeprawy przez Odrę. Zaopiekowali się nią nowi gospodarze.

Że młodzi wyjeżdżają? Karolina uciekać nie chce, tu jest dobrze, spokój, młodzież robi ogniska.

Na obrzeżach Kłosowa chłopaki ćwiczą przed zbliżającymi się międzygminnymi zawodami Ochotniczej Straży Pożarnej. Tutejsza ekipa należy do najsilniejszych w regionie. Szkolenie prowadzi Zdzisław Mazur, prezes tutejszej jednostki.

Na skraju łąki błyszczy świeżym czerwonym lakierem strażacki mercedes. Właśnie go sprowadzili, burmistrz Mieszkowic spełnił obietnicę z kampanii.

Straż pełni w Niemodlinach, Otmuchowach, Kłosowach rolę świetlicy, koła zainteresowań, elementu lokalnej tożsamości i szkoły życia. Od dawna nie ma pegeerowskiej świetlicy, kościół dopiero w Kurzycku, a niedawno zamknęli szkołę podstawową. – Więc działamy sami. To nie w porządku, że „praca społeczna” źle się kojarzy – mówi Mazur i tego uczy chłopaków w OSP.

Boguszów-Gorce. Niedawno na biedaszyby chodziły nawet kobiety. Dziś tylko mężczyźni, po zmroku.

## Kurzycko, Kłosów. Straż naszą dumą

Czy 60 lat wystarczy, by uznać jakieś miejsce za swoje?

To pytanie więdnie, przysłaniane przez aktualniejsze tematy, umierają jego depozytariusze.

Eugeniusz Dzedzej z popegeerowskiego Kurzycka, sympatyczny starszy człowiek z lekko śpiewnym akcentem, kiedy przyjechał spod Lwowa, miał 10 lat. Widoków ojcowizny nie zapamiętał zbyt dobrze. Lepiej pamięta porozrzucaną po polach broń, trupy koni, strach przed bandytami, którzy mieli się ukrywać po okolicznych lasach. Nie przyjechał wraz z pierwszymi przesiedleńcami, ale jest częścią mitu Ziem Zachodnich i Mazur, w którym dużą rolę gra jeszcze ciepły obiad zostawiony na fajerkach przez uciekających niemieckich gospodarzy. W tym micie są też niemieckie sprzęty w gospodarstwie, pochowane po strychach i stodołach kosztowności, po które nocami wracali przez zamarzniętą Odrę właściciele. On, wuj Dymitr z Przemkowa czy Jan Sztadylów, kurzycki gospodarz, który przesiedlił się tu jeszcze w 1945 r., opowiadają tę samą historię.

Ziemie nadodrzańskie są ojczyzną Dzedzeja. Wie, gdzie piaski, a gdzie gleba dobra. Zna skróty, innych gospodarzy, tutaj starzeje się i tutaj umrze. Na Ukrainę nieszczególnie go ciągnie.

Wschodnia gościnność 70 kilometrów w linii prostej od Berlina. Kiedy przyjeżdża obcy człowiek, na stole ląduje cała zawartość lodówki.

❖

14-letnia Karolina Kucia mieszka w sąsiednim Kłosowie. Jej babcia jest Niemką. – Poza tym tu jest fajna społeczność. Ludzie chcą się spotykać, coś robić.

Mazura znają w okolicy. Mówią, że dobry gospodarz, równy chłop, porządny człowiek, należy do Kościoła Domowego – grupy modlitwy i dyskusji. On sam jeszcze kilka lat temu bał się, że Kłosów się wyludni. Teraz już nie. Starzy rolnicy są na emeryturze, większość gospodarzy, jak on, jest w średnim wieku. Coś robią, kupują sprzęt, modernizują, kombinują. Poza tym działki pod budowę zaczynają tu kupować ludzie z miasta. Spokój, zieleń, dzikie zwierzęta, niedaleko Odra, tu się dobrze żyje. Spokojnie.

❖

Wielki lęk Ziem Zachodnich, o którym przez dziesiątki lat opowiadali socjolodzy – lęk przed ponownym wygnaniem, poczucie, że remonty czy inwestycje nie mają sensu, bo lada chwila wróci Niemiec – skończył się ostatecznie. Karol Maliszewski w Nowej Rudzie opowiadał, że ich dzieci już się z tego śmieją. To samo mówią w Przemkowie, Kurzycku i Kłosowie. Owszem, rolnicy szepczą po kątach, że wszystkie duże gospodarstwa nad Odrą należą do Niemców. Że ten czy tamten jest tzw. słupem, czyli fikcyjnym właścicielem. A z drugiej strony, mówią, niech kupują, jak nasi nie chcą ziemi uprawiać.

Nikt tu nie ma kompleksu Warszawy, na pomoc ze stolicy nie liczą. Ważniejsze są: ruch nadgraniczny, drobne interesy, transport, Berlin i Unia.

**Ostatnia część reportażu za tydzień**

Konrad Adenauer Stiftung
Projekt zrealizowany we współpracy z Przedstawicielstwem Fundacji Konrada Adenauera w Warszawie